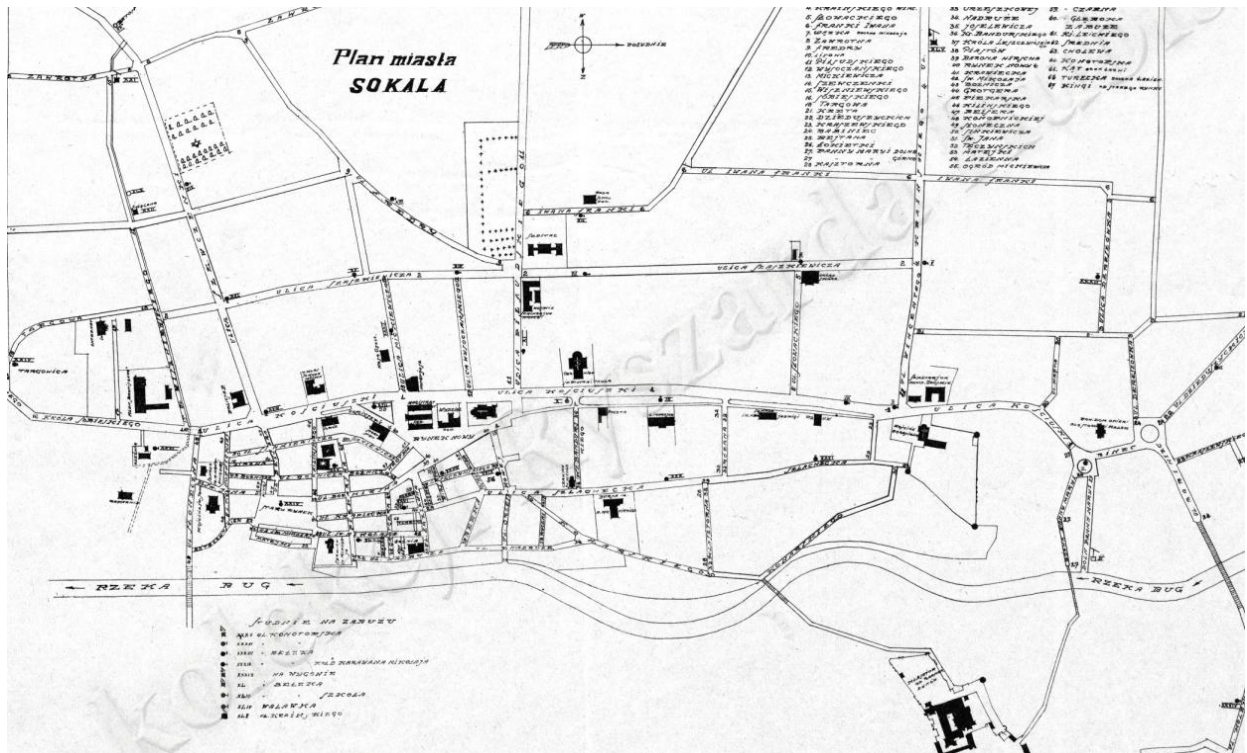


Sokal, Wileńszczyzna, Szczebrzeszyn- Stefania Bielańska- Kołodziejczyk.

Moja matka Stefania Bielańska, córka Jana Bielańskiego i Marii Tymoszyk, urodziła się w Sokalu 14.10.1906 r. Mieszkała z rodzicami przy ulicy Panny Marii 89, niedaleko kościoła, w którym, jak opowiadała, pomagała z siostrami ustawiać kwiaty.

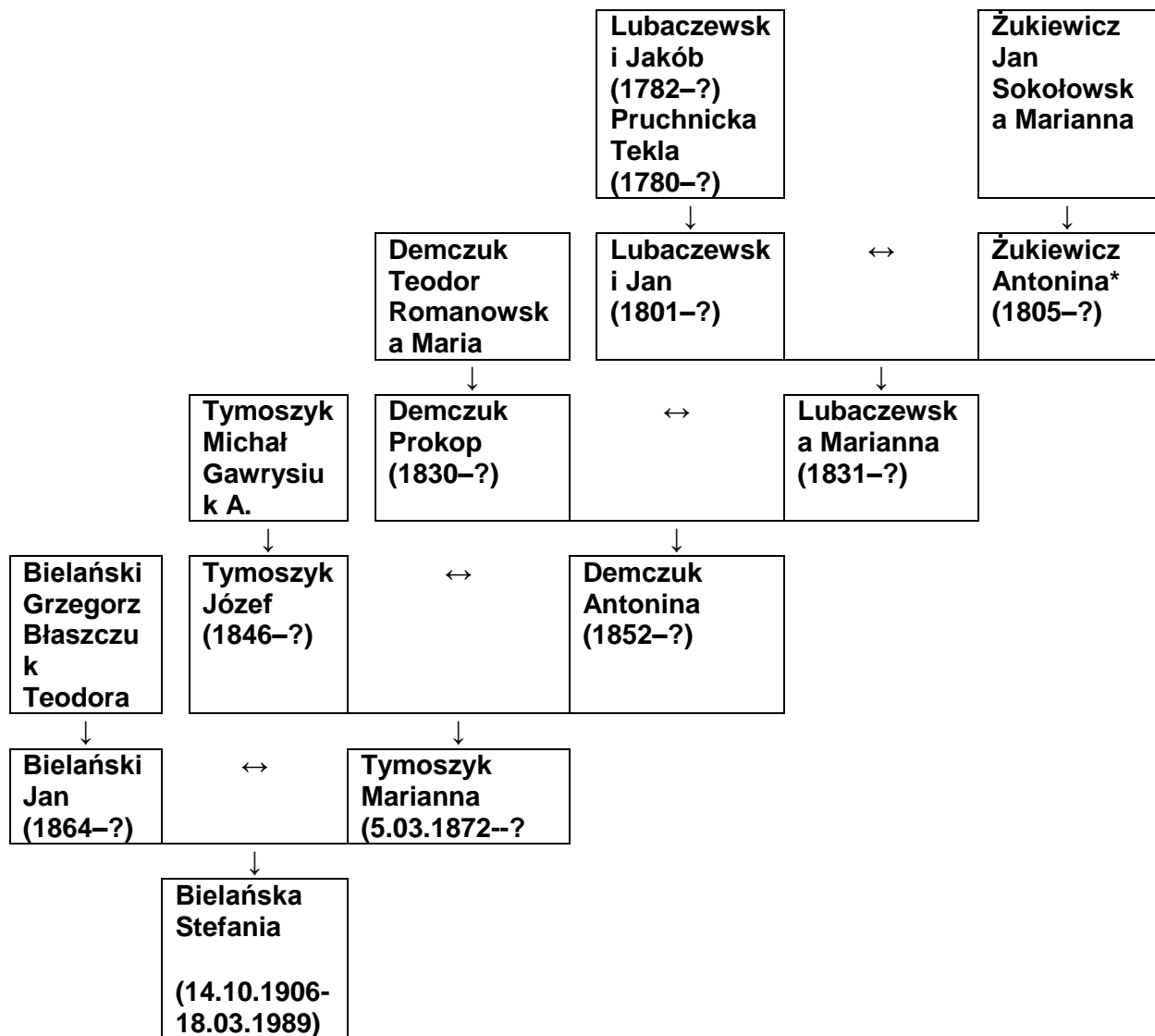


Plan miasta Sokala. Czarna duża plama po prawej stronie u dołu-słynny klasztor Bernardynów. Po prawej od klasztoru do góry przez rzekę Bug biegnie ulica Panny Marii. Na tej ulicy, w połowie pomiędzy rzeką i wyżej leżącą główną ulicą, b. mała czarna kropka na wybrzuszeniu dom Bielańskich.

Z dokumentacją rodziny Bielańskich jest sporo trudności. Tereny, na których mieszkali zostały, po drugiej wojnie światowej, włączone do ZSRR a później do niepodległej Ukrainy. Zaledwie część dokumentów parafii katolickiej z Sokala przewieziono w 1944 r. do Polski- obecnie znajdują się w tzw. Archiwum abp Baziaka, ostatniego metropolity lwowskiego, do której to diecezji należał Sokal. Nie wiadomo, gdzie znajduje się reszta dokumentów, w których archiwach, wreszcie czy w ogóle jeszcze istnieją. Np. aktu ślubu rodziców matki, a moich dziadków, Jana i Marii Bielańskich w „archiwum abp Baziaka” nie ma, ale znajduje się zapis w „indeksie zaślubionych” pod nr 34, pozycja 8: „Bielański Jan Tymoszyk Marianna 13.XI.1892 r.”. W dniu ślubu Jan Bielański miał 28 lat, a Maria Tymoszyk 20. Z powodu braku dokumentów trudno także ustalić, od jak dawna rodzina Bielańskich mieszkwała w Sokalu.

Najlepiej w tej rodzinie jest udokumentowana historia kobiet, poczynając od mojej mamy Stefani Bielańskiej, babci Marii Tymoszyk, prababki Antoniny Demczuk, praprababki Marianny Lubaczewskiej i jej przodków.

Oto przodkowie mojej mamy:



Zwraca uwagę zawieranie w tamtych czasach małżeństw w młodym wieku. Prokop Demczuk miał w dniu ślubu 18 lat, Jakub Lubaczewski też 18, Jan Lubaczewski 20, Marianna Lubaczewska 17, Tekla Próchnicka 20, Antonina Żukiewicz 16, Antonina Demczuk 18. Dat urodzin i ślubu Jana Żukiewicza i Marianny Sokołowskiej nie znamy.

Moi dziadkowie Jan i Maria Bielańscy mieli sześcioro dzieci:

Anna	Maria	Jan	Antonina Głazowska	Franciszka Horodejczuk	Stefania Kołodziejczyk
Zmarli jako dzieci			20.05.1901– 2.03.1957	1904–1978	14.10.1906– 18.03.1989
			-		

Przeżyły tylko trzy córki- pierwszych troje dzieci umarło (nie wiem, w jakich okolicznościach) na szkarlatynę.



Od lewej najmłodsza Stefania- moja mama, średnia Franciszka i najstarsza Antonina.

Antonina, moja matka chrzestna była, tak jak i moja matka Stefania, nauczycielką. Uczyła najpierw w miasteczku Bełz, stolicy dawnego Księstwa Bełskiego, potem w Sokalu. Tuż przed wojną ukończyła na uniwersytecie Lwowskim Wyższe Kursy Nauczycielskie, co pozwoliło jej po wojnie uczyć w Państwowym Gimnazjum i Liceum, a potem w Liceum Pedagogicznym w Szczepreszynie.

Wyszła za mąż za nauczyciela Ludwika Głazowskiego, który podczas pierwszego „pobytu” ZSRR w Sokalu pracował, jako stróż nocny w cegielni, a podczas okupacji niemieckiej działał w konspiracji i ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem. W 1944 r., tuż przed zajęciem Sokala przez ZSRR, wyjechali do Jarosławia i tam pracowali w oświacie. Niestety trudy konspiracji i związane z tym ciężkie warunki życia zaważyły na zdrowiu Ludwika i spowodowały w 1946 r. jego przedwczesną śmierć. Antonina została wdową. Była bezdzietna.

Franciszka wyszła za mąż- ślub odbył się 25.08.1928 r. w Katedrze we Lwowie (mojej mamy w rok później 25.8.1929), za Józefa Horodejczuka, rolnika w Sokalu. Mieli czworo dzieci: Romana, Marię (Kuźmińska), Zbigniewa i Janinę (Dutkowska). W 1944 r., przed powtórny wejściem Sowietów, Franciszka Horodejczuk z mężem i czwórką dzieci uciekli z Sokala, włączonego do Ukrainy, na drugą stronę Bugu, do przedmieście Sokala zwanego Zabuzem.

W Sokalu został osiemdziesięcioletni dziadek Jan, który kategorycznie odmówił wyjazdu, twierdząc, że będzie pilnował domu. Jak wspomina Marysia, nawet siłą nie można było dziadka zabrać. Miał w Sokalu siostry, które też tam zostawały, bowiem bardzo wielu ludzi sądziło, że jest to tylko stan przejściowy. Sokal w swojej historii należał do Rusi, Austrii, Polski, ZSRR, Niemiec. Dziesiątki lat, nieraz aż do śmierci ludzie wypędzeni z tamtych terenów myśleli, że Sokal wróci do Polski. Nie wiemy, kiedy i jak umarł dziadek Bielański. Dotarła do nas wiadomość, jakoby znaleziono go w łóżku martwego z rozbitą głową.

Niestety, w 1951 r. nastąpiło tzw. wyrównanie granic. Oddano Ukrainie, wtedy jeszcze ZSRR, tereny Zabuża wraz z sokalską stacją kolejową leżące po lewej, polskiej stronie rzeki Bug. W zamian otrzymaliśmy trochę Bieszczad z Ustrzykami Dolnymi i Górnymi. Tam przesiedlono ludność z terenów, które odeszły do Ukrainy. Horodejczukowie nie zdecydowali się na wyjazd w góry i przyjechali najpierw do Jarosławia a potem do nas na Brody.

Wg powszechnego przekonania Zabuże z przyległym terenem zostało nam zabrane ze względu na znajdujące się tam pokłady węgla. Przekonanie błędne- na oddanym terenie do dzisiaj nie powstała żadna kopalnia węgla.

Przyczyna była inna. Linia kolejowa Kowel-Lwów w Zabużu opuszczała terytorium Ukrainy i przekraczając Bug wchodziła do Polski, przebiegała koło sokalskiego dworca kolejowego, który też znajdował się po polskiej stronie Bugu, aby po kilku kilometrach, znowu powrócić na terytorium Ukrainy. Po oddaniu tego terenu cała linia kolejowa wraz z dworcem znalazły się na terytorium Ukrainy.



Polska miała szczęście do takiego „wyrównywania” granicy- w 1918 r. z powodu linii kolejowej z Czech na Słowację, która przebiegała przez Zaolzie, Zaolzie przydzielono Czechom, pomimo, że większość mieszkańców Zaolzia opowiedziała się za Polską.

Moja mama w 1913 r. rozpoczęła naukę w szkole podstawowej sióstr Felicjanek w Soklu. Działania wojenne pierwszej wojny światowej w pewnym okresie naukę przerwały. Przeżyła w tych czasach tragiczny los Sokala, który przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk. Już w pierwszych dniach wojny wojska austriackie dwukrotnie opuszczały Sokal pod naporem rosyjskim i dwa razy wracały, aby wreszcie opuścić go na dłużej. Odbywało się to z huraganowym ostrzałem artyleryjskim i zaciętymi walkami, przed którym chowano się w piwnicach. A także grabieżami straszliwych Kozaków.



7 klasowa szkoła żeńska im Królowej Jadwigi Sióstr Felicjanek w Sokalu

Mama wspominała często pobyt Moskali, jak wtedy i dzisiaj na tych terenach nazywa się Rosjan. Dla Moskali, dziczy w porównaniu do dotychczas panujących w zaborze austriackim cywilizowanych standardów, Sokal był wrogą Austrią, a więc terenem zdobyczym, w którym można było rabować i stworzyć okupacyjny reżim. Nie wiedzieli i pewnie nie chcieli wiedzieć, że w Sokalu rządili Polacy- w tym czasie starostą był Władysław Korostkiewicz a burmistrzem Eugeniusz Wysoczański. Zresztą Polski w pojęciu elit rosyjskich nie było- był tylko jakiś Kraj Priwiślański. A "sałaty" w 100 % analfabeci spędzeni do wojska z całej przestrzeni „matuszki Rassyji” od Władywostoku przez Azję, „głubinkę” Syberii, aż do Petersburga, myśleli tylko o rabunku i wódce.

W połowie sierpnia 1915 r. w rejon Sokala, z zadaniem zdobycia go od zachodu, został przetrzucony austrowęgierski 32 Pułk Piechoty Obrony Krajowej „Neu Sandec” (Nowy Sącz), w którym służyli prawie sami Polacy, gdyż jego rejon werbunkowy znajdował się na Sądecczyźnie i Podhalu. Na nowo ludność Sokala przeżywała upiory wojny. Rosjanie zasypali atakujących Polaków gradem pocisków artyleryjskich. Jednak Polacy wyrzucili Rosjan z ich pierwszej linii obrony na wale kolejowym, a następnie, walką na bagnety, zdobyli wieś Konotopy oraz przedmieście Zabuże i doszli do rzeki Bug. Tu nastąpiła najkrwawsza część bitwy– przeprawa przez rzekę, pod ostrzałem artylerii budowanymi naprędce kładkami, gdyż mosty zostały przez Rosjan spalone. Przeprawa trwała ponad dobę, ciągle pod rosyjskim ogniem. Sukces został okupiony ogromną ofiarą zabitych i rannych polskich żołnierzy. Ludność – polska, rusińska i żydowska – zgotowała strzelcom z 32 Pułku owacyjne powitanie. Generał austriacki zaś, na wiecu, podziękował im za zdobycie dla Austrii Sokala.

Niedługo po 1918 r. wybudowano pomnik upamiętniający poległych tam polskich żołnierzy. Pomnik, choć kruszony zębem czasu przetrwał, z wyjątkiem stosownej tablicy. W 2003 r. staraniem byłych mieszkańców Sokala, za pozwoleniem władz ukraińskich, został odremontowany.

W czasie tej wojny, pierwszej wojny światowej, na pewno załamał się Bielańskim ich dotychczasowy poziom życia, żyło się biedniej. Nie wiemy, czy około 50-letni ojciec, pracownik sądu, miał jeszcze pracę i pobory. Być może nieregularnie. Na pewno mieli tam ogród, jak to bywa na peryferiach małych miasteczek, gdzie można było posadzić przysłowiową pietruszkę.

Nie był to niestety koniec niedoli mieszkańców Sokala. Zaczęła się wojna polsko-ukraińska. Na tych terenach, jak podaje Encyklopedia PWN: „Polacy, lub w znacznej mierze spolonizowane elity Rusinów, utrzymały przewagę w życiu gospodarczym i kulturalnym, co stanowiło źródło późniejszych konfliktów”. Dzięki powszechnej oświacie na terenie Galicji, mieszkańcy b. Rusi Włodzimiersko- Halickiej, nazywani przez siebie i oficjalnie przez władze polskie do końca roku 1939 Rusinami, a od czasów ZSRR ukraińcami, uświadomili sobie, że to ich tereny etniczne i stanowią oni na nich większość.

Na Wołyniu tylko 11% mieszkańców zadeklarowało wyznanie rzymskokatolickie w spisie przeprowadzonym przez władze polskie w 1921 r. Od tego już krok do uznania, że zachodnią Ukrainę „okupują Polacy, a wschodnią Moskale”. W 10-tysięcznym Sokalu, wg. spisu z 1921 r. mieszkało 4.360 Żydów, co stanowiło 43% ogółu mieszkańców – reszta to po połowie Polacy i Rusini.

W roku 1931 wg. drugiego spisu powszechnego, w powiecie sokalskim z ogółu 109 tys. mieszkańców językiem rusińskim, jako ojczystym posługiwało się około 60 tys. mieszkańców, polskim 42 tys., żydowskim 6 tys. osób, zaś około tysiąca innym językiem. Można przyjąć za pewnik, że Rusinów wcześniej było więcej, bowiem część z nich bała się w roku 1931, z różnych przyczyn, w tym z bardzo ostrego ich traktowania przez ówczesne władze polskie, ujawnić przed polskimi komisarzami spisowymi tego, że posługuje się językiem rusińskim, jako językiem ojczystym. Na pewno nie ujawnili tego ludzie wolnych zawodów, pracownicy polskich firm prywatnych i wszystkich państwowych.

1-go listopada 1918 r. na terenach byłej Galicji utworzono Zachodnią Ukraińską Republikę Ludową, której traktat brzeski przyznał „Chełmszczyznę”, po polsku dawną Ziemię Chełmską. Kilkanaście dni potem Polska odzyskała niepodległość- zaczęły się walki z Ukraińcami o te tereny, najpierw we Lwowie, a potem także m.in. w okolicach Sokala. Zakończyły się one w maju 1919 r. podpisaniem pokoju korzystnego dla Polski.

* * *

Jan Bielański, według jego córek i zapisu w zapowiedziach kościelnych przed ślubem mojej mamy, pracował, jako woźny sądowy (od wożenia korespondencji). Jeszcze dzisiaj, o czym niewiele wie, jest w sądach polskich takie stanowisko. Pracownik na tym stanowisku zajmuje się przychodzącą i wychodzącą z sądu korespondencją. Jest, więc pracownikiem lub kierownikiem kancelarii. Woźny za czasów Jana, oprócz ekspedycji poczty, miał zapewne szerszy zakres czynności, częściowo bliższy Protazemu – woźnemu z *Pana Tadeusza*:

„Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu,
Bo przypomniał [...] Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki [...]
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet
Rozkazał mu, oparłszy do piersi pistolet,
Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier,
Krzyząc „Albo cię zetnę, albo zjedz twój papier!”
Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztropny,
Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny. [...]
Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,
Która mu jak Ołtarzyk złoty zawsze służy,
Której nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
Była to trybunalska wokanda: tam rządem
Stały spisane sprawy, które przed urzędem
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał
Albo o których później dowiedzieć się zdołał.
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,
Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojc z Rodułtowskim,
Obuchowicz z kahałem, Juraha z Piotrowskim,
Maleski z Mickiewiczem, a na koniec Hrabia
Z Soplicą: i czytając, z tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich, wszystkie procesu wypadki,
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym,
W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,
Jedna ręka na szabli, a drugą do stoła
Przywoławszy dwie strony: „Uciszcie się!” woła.
Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału”.

Mickiewicz w przypisach do *Pana Tadeusza* tak objaśnia funkcje woźnego: „Woźny albo jenerał wybrany uchwałą trybunalską lub sądowniczą ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromisje, robił wizje, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała”.

Mama i jej siostry mówiły, że w rodzinie krążyły wieści o pochodzeniu Bielańskich z rodziny „kniaziów”, czy raczej „kniazików”, których to tytułów w średniowieczu używali „szefowie” licznych, niewielkich społeczności na Rusi i Litwie. Potem z niektórych z nich wyrosły wielkie rody książęce.

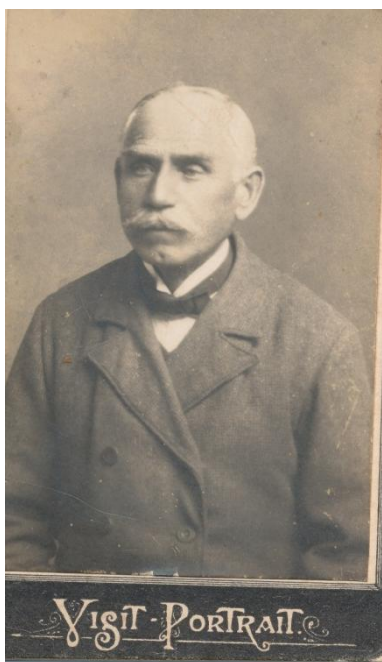
Trzeba mieć nadzieję, że Bielański nie musiał (jak to siedemdziesiąt lat wcześniej opisał Mickiewicz), roznosząc pozwy, uciekać w konopie przed rozzłoszczonym szlachciurą. Pod koniec XIX i na początku XX w. w zaborze

austriackim rozwożenie większości przesyłek sądowych zapewne przejęła już poczta. Ale mogły być i takie, których ówczesna poczta nie mogła dostarczyć.

Jeszcze w okresie międzywojennym w sądzie grodzkim w Szczepleszynie, pochodzący ze szlachty woźny sądowy Antoni Bronikowski spełniał wiele czynności. Opowiadał mi jego syn Marian, mój przyjaciel, że funkcja ojca była absorbująca. Ustalał, w porozumieniu z sędziami, terminy i kolejność rozpraw, przyjmował interesantów przeglądających materiały, proszących o przyspieszenie terminów, podających nowych świadków lub dokumenty, a także wysyłanie i przyjmowanie obfitej korespondencji od stron, świadków i adwokatów. Niewykluczone, że Jan Bielański egzekwował też opłaty sądowe i grzywny.

Być może małżeństwo dziadków Marii i Jana było małżeństwem „sądowym”. Jeden z braci Marii był sędzią, drugi adwokatem, a Jan był pracownikiem sądu. Może tam ich skojarzono? Możliwe też, że po ich ślubie jej bracia pomogli mu dostać pracę w sądzie.

Rodzice Stefanii Bielańskiej, a moi dziadkowie:



Jan Bielański w wieku
około 60 (?) lat



Maria Bielańska w 1913 r.
tu w wieku 41 lat

Dzieci miały w domu wyznaczone czynności, które przechodziły ze starszej córki na młodszą w miarę dorastania. Być może wynikało to stąd, że ich matka Maria Bielańska była bardzo chora na serce. W domu była „gospodyni”, która jest widoczna na zdjęciu ślubnym mamy, ale pomoc dzieci była konieczna. Nie sądzę jednak, aby w domu dziadka panowała wielka dyscyplina, bowiem, jak go zapamiętałem był pogodnym, wesołym człowiekiem. Usposobieniem i sposobem mówienia najbardziej przypominała go jego córka Antonina Głazowska. Marysia Horodejczuk wspomina, że gdy przychodził po nią do szkoły, już czekały na niego dzieci, które go lubiły, bo opowiadał im różne rzeczy, a ona była dumna, że ma dziadka, który tak zajmująco to robi.

Dziadka, bardzo zajmująco opowiadającego o Sokalu, klasztorze itp. pamiętam ze swojego pierwszego pobytu podczas wakacji przed wojną. Byłem potem dwukrotnie w Sokalu w 1943 r. Średniego, a może nawet niskiego wzrostu, łysy, z niziutko położonym wianuszkiem siwych, krótko ostrzyżonych włosów. Żywy, ruchliwy, wesoły, każde dziecko lekko tarnosił za czuprynę, wołając pieśczośliwie: „ti, ti, ti” (zbliżone do: ty, ty, ty). Nie był wielkiej tuszy, ale i nie chudy- miał charakterystyczną śniadą cerę. Jeżdżąc po Ukrainie, podczas mojej pracy, (Przedstawiciel Polskiego Transportu Samochodowego-340.000 km w ciągu 11 lat) widziałem wielu ludzi śniadych i często wydawało mi się, że mam przed sobą moją mamę, lub jej starszą siostrę Franciszkę, które odziedziczyły cerę po ojcu.

Matka Stefanii Bielańskiej, a moja babka – Tymoszyk, w akcie chrztu figuruje, jako Mariana, w akcie zapowiedzi przedślubnych, jako Maryjanna, a w akcie chrztu mojej matki, jako Maria. Chorowała na serce i zmarła młodo, jak przypuszczam w 1929 r., w wieku 59 lat, gdyż na zdjęciu ślubnym moich rodziców wygląda tak, jak gdyby specjalnie do zdjęcia podniesiono ją z łóżka. Jej aktu zgonu nie ma w „archiwum abp. Baziaka”.

Jan Bielański miał siedmioro rodzeństwa, a sam był piątym dzieckiem. Maria Tymoszyk, jego żona, była drugim dzieckiem w rodzinie i miała sześcioro rodzeństwa.

Najczęściej wspominanym przez mamę był brat matki Mikołaj Tymoszyk, nauczyciel w Wetlinie, do którego jeździło się na wakacje. Po wojnie, w 1944 r., został on, z uwagi na urodzenie się w Sokalu, uznany za Ukraińca i przymusowo wywieziony do Sokala. Kilka listów od tegoż Mikołaja dotarło do mojej mamy po 1944 r. Pracował w zakładzie fotograficznym i miał głuchoniemego syna.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej mamą kontynuowała naukę w szkole powszechnej, a potem w Prywatnym Żeńskim Seminarium Nauczycielskim w Sokalu.



Młoda nauczycielka Stefania Bielańska

Po jego ukończeniu została zatrudniona w woj. Nowogrodek, w powiecie Lida gm. Raduń, w zaścianku szlacheckim Pacieluńce. Nazwę tę miejscowi mówili po wileńsku- wolno z wileńskim zaśpiewem: Pacjełuuuńcy- w języku białoruskim i rosyjskim e czyta się jak je.

Zaścianek posiadał 7 klasową szkołę powszechną. Zaścianków był tam niespotykana gdzie indziej ilość- w promieniu kilkunastu kilometrów około 20-stu, m.in. Paszkowice i Butrymy, których to nazw użył Sienkiewicz w „Potopie”. Nie nazywy się zaścianki, lecz po staropolsku okolice. Jeśli czytamy „zjazd okolicznej szlachty” to nie znaczy, że zjechała okoliczna szlachta, lecz zjazd szlachty zaściankowej. Wg spisu powszechnego z 1961 r. opublikowanego w ZSRR, w sto tysięcznej Lidzie narodowość: polska podało 61% osób.

Zapewne na jakiejś zabawie lub zjeździe nauczycielskim poznała starszego od siebie o dwa lata nauczyciela ze Szczepieszyna Romana Kołodziejczyka uczącego w tym samym powiecie- Lida, we wsi Podzیتwa i wyszła za niego za mąż. Ślub odbył się w Sokalu 25 sierpnia 1929 r.



Od lewej strony: u dołu pólleżą młodsza siostra ojca Marianna i starsza siostra matki Antonina. Siedzą: babcia Maria Bielańska wydaje się w ciężkim stanie zdrowia, tak jak by ją podniesiono z łóżka do ślubnego zdjęcia córki, dziadek Jan Bielański, babcia Wiktoria Kołodziejczyk. Stoją: drużna, gospodyni, młodzi; Roman i Stefania Kołodziejczukowie, siostra mamy Franciszka Horodejczuk, drużna i mąż Franciszki Józef Horodejczuk. Fotografia wykonana dzień po ślubie- już bez welonu.

Czy po ślubie moi rodzice mieszkali w Pacieluńcach razem, gdzie uczyła mama? Trudno przypuszczać, aby ojciec dojeżdżał (rowerem?) codziennie codziennie ponad 15 km do swojej szkoły w Podzittwie. Przypuszczam, że mieszkał tam nadal i co kilka dni, a już na pewno każdej niedzieli przyjeżdżał do Pocieluniec.

Urodziłem się 28.05.1930 w Szczebrzeszynie, 9 m-cy po ślubie, jako pewnie owoc miłosnej nocy poślubnej. Dlaczego w Szczebrzeszynie- mogę tylko przypuszczać. Na pewno mama bała się rodzić na wsi bez szpitala czy lekarza. Najbliższy szpital był w Lidzie. Aby się do niego dostać trzeba było osiem kilometrów jechać furmanką do Radunia, stamtąd 23 kilometry autobusem do stacji kolejowej Bastuny i 16 kilometrów pociągiem do Lidy. W praktyce była, więc skazana na babkę-akuszerkę w Pacieluńcach. Dlatego prawdopodobnie zdecydowała się rodzić mnie gdzie indziej. Zawsze jednak dziwiłem się, dlaczego w Szczebrzeszynie, gdzie wszyscy w zasadzie byli dla niej obcy, a nie w Sokalu, gdzie miała duży szpital, matkę i dwie siostry?

Pojechała wtedy do rodziny męża być może po raz pierwszy. Dziewięć miesięcy wcześniej, podczas swojego ślubu w Sokalu, poznała jedynie matkę ojca i jedną z jego sióstr Mariannę. Na to pytanie, dlaczego Szczebrzeszyn-ojciec odpowiadał z właściwą mu egzaltacją: wszyscy Kołodziejczykowie rodzili się w Szczebrzeszynie. Nie wydaje mi się to prawdziwe. Niestety, kiedy mama jeszcze żyła nie zadałem jej tego pytania. Przyczyna wydaje mi się prostsza- w Sokalu mogła panować żałoba po śmierci matki.

Po cofnięciu ojcu prawa nauczania na początku lat trzydziestych XX wieku, (patrz www.szczebressyn.pl: Roman Kołodziejczyk żołnierz 1920 i AK, działacz endecki- przeciwnik Piłsudskiego) mama uczyła jeszcze kilka lat, a ojciec pracował w powiecie Lidzkim, jako wykładowca na kursach rolniczych organizowanych przez Kółka Rolnicze.

W końcu i mamie cofnięto uprawnienia do nauczania. Ponieważ nie mogli dostać pracy w żadnej instytucji państwowej, kupili kilkunastu hektarowe gospodarstwo w miejscowości Starybród k/Szczebrzeszyna i „Szlakówkę”. (patrz www.szczebressyn.pl: Wileńszczyzna i Szczebrzeszyn- lata 20-te i 30-te XX wieku).

Była tytanem pracy, przed wojną prowadziła gospodarstwo często nie tylko kobiece, bo ojciec sporo czasu poświęcał swojej pracy partyjnej, a przecież nie było wtedy pralek, lodówek itd. No i wychowywała nas- czworo dzieci. Kilka razy dała się namówić na pójście do kina, na wysłuchanie koncertu np. Kiepur w domu kierownika szkoły pana Kopyciaka, gdzie było duże, z tubą, radio na baterie. U nas było tylko radio kryształkowe na słuchawki, które można było położyć na porcelanowym talerzu, co pozwalało słuchać kilku osobom naraz, choć niezbyt głośno. Po wojnie gospodarstwo, jako „kułackie”, było szybko zmniejszane, aż do zupełnego wygaszenia.

Mama powróciła do ukochanego zawodu- szkoły. Odżyła- była wesoła, gościnnie i towarzyska. Całym największym i jedynym jej szczęściem były dzieci, osiągnięcie przez nich wyższego wykształcenia. No i oczywiście sześcioro ukochanych wnucząt.



Nauczycielki szkoły w Brodach Dużych. Od lewej Irena Guzowska, Stefania Kołodziejczyk, Antonina Butkowska i Danuta Łazorczyk. Rok 1961.



Sześcioro ukochanych wnucząt- 1974 r. Od lewej w pierwszym rzędzie stoją: Agata Kołodziejczyk, Tomek Kalinowski, Magda Łowczyńska i Kasia Kalinowska. W drugim rzędzie: Janusz Kołodziejczyk i Anka Szumigaj. Janusz tu już chory- kilka lat potem zmarł.

Mama żyła 82 lata, niestety kilka lat przed śmiercią była już niezbyt samodzielna. Zmarła na raka jelita grubego. Chorowała również na jaskrę- operowana przez prof. Krwawicza, pioniera takich operacji nie tylko w Polsce, z miernym skutkiem, gdyż uratowano tylko jedno oko. Ale był to i tak duży wyczyn jak na ówczesną medycynę (lata 60. XX w.).



Rok 1954 przed gankiem „Szlakówki”- naszego domu: moi rodzice Roman i Stefania, moje siostry Irena i Teresa i ja- Romuald. Brakuje średniej siostry wtedy 17-tetniej Elżbiety.